

Jan bił młotem coraz zawzięciej, krople potu ściekały po jego zarośniętej twarzy.

Już i kraty zostały usunięte a kasa stała zamknięta.

— Na nic nasza praca — szeptali towarzysze zniechęceni.

Bal silił się na spokój. Z jednej strony mogą nadejść żołnierze na zmianę; z drugiej wyruszą strażnicy na obławę; może i Marcelek nie utrzyma w szynku żołnierzy; a kasa prócz głuchych trzasków stoi nienaruszona. Być tak blisko celu i nie móc go osiągnąć.

Zegar wydzwonił jedenastą.

Do towarzyszy stojących nieporadnie przed otwartym oknem rzekł Bal:

— Rozstawcie się na ulicy i baczność. Na krakanie lub gwizdek do mnie!

Sam wlaź do pokoju przymknął okiennicę, obejrzał starannie kasę i rzekł do Jana:

— Zawiasy są zarysowane.

Ten spojrział niedbale i mruknął:

— Zamek grunt.

Okiennica zapiszczała a Marceli spytał przyciszonym głosem:

— Czy już? Prą się gwałtem na posterunek.

— To ich nożem — zawołał jeden z towarzyszy rozdrażnionym głosem.

— Sprowadźcie ich tutaj, skrupujemy — rzekł Bal.

Nagle odezwało się przeraźliwe krakanie.

— Cicho — szepnął do Jana — zgaście latarkę.

W jednej chwili wyskoczył oknem wołając do nadbiegających towarzyszy:

— Za dom, broń w pogotowiu — a do Marcelka — bierz karabin, na posterunek, nie puszczać ich.

Sam ukrył się w budce strażniczej i czekał. Dały się słyszeć miarowe kroki żołnierskie, zabłysły lufy i kaszkiety straży ziemskiej.

Na czele szedł Dymitrow. Przed budynkiem kasy zatrzymał oddział i spytał Marcelka stojącego na warcie:

— Spokojnie u was?

— Spokojnie.

— Nu zobaczymy.

— Hasło?

— Zwaryowałeś, czy co? Ja starszy strażnik.

— Hasło, bo strzelam, ani kroku — i wymierzył karabin.

Przez chwilę wahał się Dymitrow, ale w obec lufy wymierzonej namyślił się i zakomenderowawszy: marsz! ruszył w stronę rynku.

Marcelek podchodząc do budki strażnika, szepnął:

— Złe z nami... złapią żołnierzy i Wawrzka... domyślą się.

Jeden z towarzyszy zbliżył się z westchnieniem:

— Schwycą Młota.

Bal nie mówiąc i słowa, podszedł do okna, pchnął okiennicę i rozkazał:

— Do roboty! Niebezpieczeństwo minęło!... Śmiało!

Znów rozległy się miarowe uderzenia.

— Sprowadźcie tutaj żołnierzy — rzekł Bal do Marcelka: a do stojących: — odwagi towarzysze, za chwilę skończy się wszystko.

— A Młot... a Wawrzek... — mruknął ktoś.

— Wrócą na pewno, a gdyby ich uwięziono nawet i zginęli, to sprawa nasza warta krwi naszej.

Posłyszeli szybko zbliżające się kroki, wpatrzyli się w ciemność. Wkrótce rozpoznali mundur wojskowy, sięgnęli po browningi, gdy zawołał idący?

— Gdzież wy?

— To Młot! — krzyknęli uradowani.

— Nie zginąłem — zaśmiał się.

— Co z żołnierzami? — spytał Bal.

— Poszli na rewizję wiorsta od miasta, mamy czas... a u was co?

— Nie puszcza kasa.

— Ano zobaczę — i gdy inni rozeszli się na stanowiska, on z Balem weszli do pokoju.

Obejrzano kasę szczegółowo i Młot był zdania, by strony zawias nie ruszać, a w pozostałe trzy biec kliny.

Zastosowano się do rady i zaczęła się robotą.

Bal usiadł za stołem kasyera, zapalił papierosa i uzupełniał kwit z pieczęcią partii na odbiór pieniędzy, zostawiając wolne miejsce na wpisanie sumy.

Zaledwie skończył, gdy drzwiczki kasy odskoczyły, ale tuż rozległ się i gwizdek ze strony miasta.

— Zgasić i czekać — zarządził Bal wyskakując oknem.

Zdala słychać było kroki kilku ludzi, zbliżających się do budynku kasy. Wtem podbiegł jeden z towarzyszy do Bala, stojącego u furtki wejściowej:

— To Marceli, Wawrzek i żołnierze.

— Towarzyszu Michale, postronki.

— Są tutaj — pobiegł pod drzewo i przyniósł.

— Towarzyszu Marcinie — mówił Bal, wręczając postronki — związać ręce i nogi, zakneblować i złożyć obu za domem. A wy towarzyszu



Wyjął czerwone sukno z wyszytymi, białymi literami: P. P. S., przywiązał je do bagnetu nasadzonego na karabin jednego ze związanych żołnierzy i umocował w pozostałej kratce.

Michale, skoczcie po konie przed karczmę, gwizd trzykrotny.

Powrócił do pokoju, przymknął okiennicę, zapalił świecę i kazał obliczać pieniądze.

Gdy banknotami doliczono sto tysięcy, zwrócił się do Młota:

— Włóście na siebie.

Przed domem słychać było szamotanie, głucho jęki. Bal otworzył okiennicę i zawołał:

— Marcelku!

Liczono dalej, a przy stu tysiącach rozporządził Bal, aby zachował je przy sobie Marceli.

Zadudniło przed kasą, to Wanda przyjechała. Bal rozkazał utworzyć łańcuch i worki ze złotem umieszczono na bryczce.

Po obliczeniu okazało się, że w kasie było 547.940 rbl., którą to sumę wpisał Bal do kwitu i rozporządził, aby zatarto ślady, zebrano najdrobniejsze resztki połamanych wytrychów, dęt, pilników.

Ośmiu towarzyszom dał po pięćdziesiąt rubli na drogę, a Marcelkowi i Młotowi po sto rubli.

— Na bryczkę towarzyszeki Wandy siadać prócz Michała towarzysze Jan i Marcin.

Już ruszyli z przed budynku kasy, gdy Bal zawołał:

— Zaczekajcie! Zatkniemy jeszcze nasz sztandar!

Wyjął czerwone sukno, z wyszytymi, białymi literami: P. P. S., przywiązał je do bagnetu, nasadzonego na karabin jednego ze związanych żołnierzy i umocował w pozostałej kratce.

— Niech żyje P. P. S.

Odkrzyknęli i po raz pierwszy w tem miejscu rozległ się głos tryumfu polskiej partii socjalistycznej.

— W drogę towarzysze!... Wandziu, szczęśliwej drogi!... Bywajcie!

Za chwilę szedł szybko w stronę rynku do Szaji, a gdy mijał swój zajazd, zastąpił mu drogę oddziałek straży ziemskiej.

— „Ruki w wierzch!”

Obszukawszy za bronią a nie znalazłszy, zażądali paszportu, który im wręczył. Celem sprawdzenia chcieli go prowadzić do koszar.

Sprzeciwił się temu, przyszedł do ostrej wymiany słów, co zabiło krążącego opodał Dymitrowa.

— „W arest jowo!” — wrzasnął gniewnie.

— Panie Dymitrow, zaprowadź mnie pan do pana naczelnika, Wasyla Wasyliewicza Pietuszok.

Poznał głos Dymitrow i równie groźnie wrzasnął:

— „Pustit jowo, wy sukin syny!... A wy gaspadin, kuda?”

— Do Szaji, do naczelnika.

— „Nus... z Bohom!”

— Proszę mi dać strażnika, może mnie znów ktoś zaaresztować.

— „Wierno” — i dodał strażnika Balowi, który pospieszył do Szaji.

Wchodzącego powitał naczelnik pół pijanym głosem:

— „No, wy opozdali niemnożko”.

— Byłem aresztowany.

— „Wy!? Kto śmieł?”

— Dymitrow, ale puścił dodawszy mi strażnika na drogę.

— „Nu, charaszo! — śmiał się Wasyl Wasyliewicz — ot nasza preśławna służba!”

Kola nie spuszczał oczu z Bala, nie dowierzał, a usłyszawszy o aresztowaniu, był przekonany, że wyprawa się nie udała, a Bal ratując się, wszedł do Szaji.

— „A diengi u was jest?” — spytał Jegorow.

— Przyniosłem i byłbym tu wcześniej, ale zatrzymali mnie strażnicy.

— Szkoda czasu — zawołał Martynow — do gry panowie... pokosztuj polskich pieniędzy.

— Może napijesz się czego? — spytał Kola, chcąc mieć sposobność zbliżenia się.

— I owszem, jestem spragniony, bo też naszukałem się pieniędzy, ale dostałem wszystkie — mówił półgłosem.

— Siadajcie panowie do gry — mówił zuecierpliwiony Jegorow.

— Idziemy, tylko każe zamrozić szampana — rzekł Bal — właśnie

o markę sprzeczałem się z Kolą.

— Nu szampan, ot trunek — zaśmiał się oczy naczelnika.

— Zachęcaj ich do picia — szepnął Bal i usiadł do stolika, kazawszy dać szampana.

Tym razem miał Bal niezwykle szczęście, kupa pieniędzy rosła, co drażniło partnerów i na pokrzepienie sił pili szampana szklankami. Chcąc ułagodzić gorycz naczelników, pożyczyl, wbrew zwyczajowi i przesadom gracza, jednemu i drugiemu sto rubli, a gdy Martynow zgrany chciał wstać od stołu, skłonił go do pożyczania pięćdziesięciu rubli.

W czasie gry tylko ostrożny gracz nie przebiera miary, natomiast inni pod wpływem namiętności gry nie zwracają uwagi na ilość, a jednostajna temperatura pozwala długi czas pić i nie odczuwać skutków alkoholu.

Kolejno zmieniła się karta i mniej więcej wszyscy gracze byli przy swoich pieniądzach.

Po godzinie drugiej zasiedli do krótkiej kolacji, a Bal znów kazał dać szampana mówiąc:

(Ciąg dalszy nastąpi).